

Czas na lekcje z nieufności

Łukasz Kaczyński: - Podczas jednej z lipcowych manifestacji pod pałacem prezydenckim mówił pan o tym, jak język może służyć, np. politykom, do antagonizowania ludzi. W mediach społecznościowych komentuje pan różne wydarzenia społeczne i polityczne. Czy te media mają realny wpływ na odbiorców?

Jacek Dehnel: - Mówiłem nie tylko o politykach. Ich łatwo stawiać pod pręgierzem, bo klasę polityczną mamy badziwną – więc jest za co. Mówiłem o wszystkich, z sobą włącznie, o społeczeństwie. Bo, dodajmy, badziwność polityków wyrasta z naszej wspólnej badziwności, oni są naszymi reprezentantami. Mówiłem o tym, jak siebie nawzajem obrażamy, co jest na najróżniejsze sposoby szkodliwe. Bo krzywdzi, bo prowadzi do erozji społecznej, rozmywa rzeczywisty spór i przenosi go na poziom pyskówki. Media służą do docierania. Ale docieranie to jedno, a wpływ to drugie. Fakt, że ktoś z ambony powie, żeby ludzie nie kradli, nie oznacza, że kraść przestaną.

Zakładam, że sięga pan po najmłodsze media, bo zależy panu na angażowaniu innych w poprawę sytuacji. Ale w rzeczywistości wirtualnej hierarchie wartości są rozchwiane i pana głos, profesjonalisty w konkretnej dziedzinie, znaczyć może tyle, co głos jutubera, domorosłego publicysty czy propagandzisty. A w ogóle „kim jest ten cały Dehnel”? Pytam ze świadomością, że wypis z wypowiedzią spod pałacu polubiło 15 tysięcy użytkowników Facebooka, udostępniło 8,5 tysiąca.

- A to ja mogę powiedzieć, kim jest: pisarzem. Jeśli zatem zależy mi na dotarciu do ludzi z rzeczami najistotniejszymi, to piszę powieść, wiersz, opowiadanie. Na fejsie wklejam rzeczy jako osoba prywatna, zatem w większości przypadków nie jestem tu profesjonalistą – ani socjologiem, ani politykiem, ani ekonomistą, ani prawnikiem, ani seksuologiem, choć przecież o tych kwestiach piszę i dyskutuję. Nie ma więc powodu, żeby jakaś hierarchia wynosiła mnie w górę – prócz samej jakości tekstu. Pisałem posty zresztą wcześniej, jak większość użytkowników, kiedy mój profil był prywatny i nie można go było dodać do obserwowanych. Otworzyłem go trzy lata temu przy okazji premiery „Matki Makryny” i tak zostało – na początku obserwował go jakiś tysiąc ludzi, teraz dwadzieścia parę tysięcy. Są tu dwie grupy: ci kolejni obserwujący, którzy dochodzą stale po troszeczkę, to często moi czytelnicy, inni natomiast przychodzą falami po szeroko udostępnianych wpisach – i tu mamy raczej ludzi, którzy czytają mnie wyłącznie na fejsie, co najwyżej jeszcze felietony w „Polityce”.

Ale nie ma się co oszukiwać: o ile moja popularność pisarska nie ma większego znaczenia w kraju, gdzie prawie nikt nie czyta, o tyle znaczenie ma biegłość w pisaniu. To, o czym pan wspomina, to nie są rzeczy błahe – na przykład umiejętność kondensacji, rozłożenia akcentów emocjonalnych i tak dalej. Pisarz od czasów Orfeusza żyje z tego, że omamia i oczarowuje, odpowiednio układając i zestawiając ze sobą słowa. Na tym polega ten zawód. Nawet kiedy piszę tylko post na fejsie, moje umiejętności czy też zawodowe rzemiosło nie zanika przecież, mogę z niego korzystać i korzystam. Tyle że z nadzieją, jak to pisał Miłosz, „że dobre, nie złe duchy, mają w nas instrument”.

Cały wywiad można przeczytać w październikowym „Kalejdoskopie”.